

RECYZJENT zamutował

Zmierzch opery?

Takie pytanie zadawali sobie od dawna zarówno widzowie, krytycy, jak i twórcy, obserwując spadek zainteresowania tym gatunkiem — w miarę narastania powszechnego zaniku wyobraźni na rzecz logiki, zwycięstwa miedra oka i szkieleta nad czuciem. My już możemy dać odpowiedź na to pytanie: tak, zmierzch opery, ale tylko w jej tradycyjnym kształcie — z bzdurnymi librettami, orkiestrą niby wielką gitarą, akompaniującą śpiewakom w ich popisowych numerach, z naturalistyczną scenografią...

Odradza się znów opera dzięki nawrotowi do ograniczonego zjednoczenia wszystkich elementów teatru muzycznego. Takiego, jaki mieliśmy okazję oglądać podczas wczorajszej prapremiery „Zmierzchu Peryna”, kompozycji współczesnego twórcy polskiego Zbigniewa Penherskiego, na scenie poznańskiego Teatru Wielkiego. Gwoli sprawiedliwości należy jednym tchem wymienić zaraz autorkę libretta i jednocześnie reżysera spektaklu Krystynę Meissner oraz artystę-plastyka Krzysztofa Pankiewicza, który ma szczególne załugi w uformowaniu tego widowiska muzycznego!

Wyobrażam sobie, ile musieli się

napracować dyrygenci Jan Kulassewicz i kierownik chóru Henryk Górski, aby przyswoić muzykom solistom i śpiewakom ten rodzaj wykonawstwa. Sami określili, że jest to opera na chóry z towarzyszeniem solistów! Także balet, przygotowany przez Barbarę Kasprovicz musiał wtopić się w zbiorowość odtwórców — jedynie w orglastycznych scenach święta Kupaly daje się wyodrębnić. Tylko w tym fragmencie zawiodł smak Krzysztofa Pankiewicza: albo trzeba zdecydować się na nagość, albo też na innego rodzaju stróż taneczek! Jest to jednak drobniak, który ginie w ogromie wspaniałej wijsi plastycznej artysty, operującego szarociami, światłami, zwiwną bielą, umownymi elementami uroczyska, siedmiu koczni — zderzonymi z natarczywą dosłownością konarów sąkiego Peryna, świętego drzewa...

Zarówno orkiestra, jak i balet mają dużo możliwości improwizowania. Byłoby zachować podyktowaną przez kompozytora siłę wyrazu. A jest ona bardzo agresywna, atakująca widza wszystkimi środkami rytmu, barwy, natężenia dźwięku, skalą jego rozpiętości. Znacomity jest pierwszy akt. Potem, gdy już rozszyfrowujemy

metode komponowania, zbliznaną do muzyki w filmie — wrażeń nie stabilnie. Głosy ludzkie potraktowane są jako jedne z wielu instrumentów — to już Wagner zresztą proponował. Słowa nierby są ważne. Doskonale przy tej ekspreji dźwiękowej oraz plastycznej ruchowej można i bez słów zrozumieć owe magiczne obrzędy, walkę jednostki ze społecznością, prehistoryczne wątki showiańskie, inspirowane przez „Starą baśń” Krazewskiego!

Po tym, co wyżej powiedziano — można pojąć, jak arcytrudne zadanie mieli wokaliści. Tym większe pochwały należą się Zofii Baranowicz za tak celną interpretację partii wiodącej Jaruchy, oraz wspaniałej Diwie, kreowanej z wielką ekspresją wokalną przez Ewę Werkę! To samo można powiedzieć o Henryku Łukasaku jako Kneziui i Stanisławie Romaszskim w roli Domana. Pięknie zaśpiewał swoją partię kapłana Wiszuna — Janusz Temnicki. Ale fakty są już bardziej melodyczne, podobnie jak Smerdy, śpiewa na prawie belcanto przez Edwina Borkowskiego. W roli Brunchilla słyszeliśmy wczoraj Antoninę Kawecką, a Wisza — Romana Wasilewskiego.

Prapremiera opery Zbigniewa Penherskiego jest kretelną robotą artystyczną pod każdym względem. I twórców i realizatorów. Bez dziwactw, bez szokowania za wszelką cenę — wszystkie zdobycze muzyki i sztuki wykorzystane zostały do stworzenia nowoczesnego widowiska operowego. Czegoż jeszcze więcej można wymagać? Chyba tylko zrozumienia ze strony publiczności, zbyt długo przyzwyczajanej do ubiegłowiecznego kształtu tego gatunku muzycznego... RYSZARD DANECKI